

KAREN MILLER

SKAZONA MAGIA

PREQUEL SERII
KRÓLOTWÓRCA
KRÓLOBÓJCA

Razem zdołaliby
rozedrzeć świat na strzępy



Karen Miller "Skażona magia" - fragment

MAT

Rozdział I

Czasami – zbyt często – Barl miała wrażenie, że tykanie zegarów doprowadzi ją do szału.

Oczywiście nie tykały, gdy je konstruowała. A kiedy już były gotowe, tykały tylko na tyle długo, by udowodnić, że działają idealnie, i ani chwili dłużej. Potem pieczętowano je pomiędzy jednym tyknięciem a drugim i milczały, dopóki nie trafiły do nowego właściciela, a wówczas zamożny klient pracowni mógł z namaszczeniem wprowadzić w ruch mechanizm swojego obrzydliwie kosztownego zakupu.

Mimo wszystko wciąż słyszała ten przekłety odgłos.

A może słyszę, jak odmierzają czas, który mi pozostał, jak przemijam i popadam w zapomnienie, w ostateczną, dźwięczącą ciszę.

Przed Barl, na solidnym stole, który był dla niej niemal całym światem, leżał niedokończony mechanizm. Tym razem konstruowała zegar podróżny dla lorda Artura Trainta z Dystryktu Jedenastego, inspektora do spraw magów. W wieku zaledwie dwudziestu dwóch lat była najmłodszym, najmniej doświadczonym magiem zegarmistrzem w tej pracowni. Zdaniem osób, które uważały się za lepsze od niej, powinna pokornie przyjąć do wiadomości, że została doceniona i spotkał ją zaszczyt.

Tymczasem czuła się urażona.

W krecich wąsach lorda Trainta było więcej artyzmu niż w całym jego próżnym ciele. Gdyby tylko ktoś pomógł mu stworzyć coś ambitniejszego. Gdyby tylko ktoś jej posłuchał, kiedy wyliczała niewykorzystane możliwości w banalnym projekcie inspektora. Ale przecież był wielkim lordem, jednym z ważniejszych członków siedemdziesięciu Rodzin Założycielskich, musiała zatem przełknąć jego brak gustu i przebojowości, ukorzyć się przed jego zwiędłą wyobraźnią, musiała...

– Barl Lindin! Pracujesz czy się wałkonisz?

Miała ochotę odpowiedzieć: „jedno i drugie”. Mistrz Arndel, właściciel pracowni, pedantycznie przestrzegał jednak zasad etykiety i uprzykrzał życie każdemu próżnującemu magowi. Powściągnęła zniecierpliwienie, przez które tylko narobiłaby sobie kłopotu, i spojrzała na kościstą twarz człowieka pochylającego się nad stołem.

– Mistrzu, zastanawiam się, czy moglibyśmy wrócić do dyskusji na temat projektu zegarka lorda Trainta. Może gdybyśmy...

– Wrócić? – Arndel z niezadowoleniem uniósł wydatną brew. – Magu Lindin, jeżeli jeszcze raz poruszysz tę kwestię, wrócimy do dyskusji na temat tego, czy rzeczywiście nadajesz się do tego zadania. Naszym obowiązkiem jest spełnienie oczekiwań klienta, a nie własnych zachcianek.

– Przepraszam – odparła oziębło. – Sądziłam, że mamy celować ponad te oczekiwania. Skoro można wskazać klientowi lepszy sposób...

– Lepszy? – Arndel uniósł krzaczaste brwi. – Według czyjego osądu, magu Lindin? Sugerujesz, bym

przedłożył twoje zdanie ponad osąd lorda Tainta?

Skoro jego lordowska mość nie ma zdania? To tak, oczywiście. Ale tego nie mogła powiedzieć. A przynajmniej nie wprost.

- Sądziłam po prostu, że...

Arndel zmrużył mętnozielone oczy.

- Magu Lindin, jak już mówiłem, nie wystarczy smykałka do magicznych przedmiotów, by mag mógł konstruować zegarki w mojej pracowni. Odnoszę jednak wrażenie, iż moje słowa padają na jałowy grunt.

Barl poczuła rumieniec wypływający na policzki, wiedziała bowiem aż za dobrze, jak inni magowie cieszyli się, gdy mistrz okazywał jej niezadowolenie. Każda nagana od flegmatycznego Arndela była niczym podarek rzucony współpracownikom, którzy oburzali się z powodu tego, kim była: najlepszym magiem, jakiego w życiu widzieli.

- Nie, mistrzu Arndel - powiedziała i opuściła wzrok, by nie widział rozgoryczenia płonącego w jej oczach. - Doskonale je rozumiem.

- Czyżby? - głos Arndela był przesiąknięty sceptycyzmem. - W takim razie najwyższa pora, by to udowodnić. - Uniósł palec w surowy, ostrzegawczy sposób. - Magu Lindin, przyznaję, że jesteś młodą osobą obdarzoną pewnym talentem, lecz nie mądrością czy rozumem, dzięki którym mógłbym pozwolić ci na ignorowanie życzeń stałego klienta. Nakazuję ci sporządzić zegarek zgodnie z wyobrażeniami lorda Tainta. Czyżby brakowało ci umiejętności do wypełnienia tego zadania?

Nie, ty głupi nudziarzu, moje umiejętności się tu marnują!

Miała ochotę wykrzyczeć te słowa tak głośno, żeby zerwać dach pracowni. Gdyby jednak krzyknęła, w nagrodę zostałaby stąd wyrzucona. Nie może tego zrobić Remmiemu. Choćby nie wiem jak ograniczona się tu czuła, zbyt wiele dla niej poświęcił, by mogła porzucić tę pracę.

- Magu Lindin? - Arndel wypowiedział jej nazwisko znienacka, jakby huknął pięścią w stół. - Jesteś tu ze mną?

Przez chwilę patrzyła na projekt banalnego zegarka lorda Tainta, starając się przybrać minę i ton głosu wyrażające służalcze posłuszeństwo. A później z powrotem podniosła wzrok.

- Przepraszam, mistrzu. Chciałam tylko zaskoczyć lorda Tainta jakimś zachwycającym drobiazgiem.

Gdy Arndel jeszcze mocniej zmarszczył czoło, od strony stojącego obok stołu roboczego rozległo się ciche parsknięcie Ibbithy Rannis.

- Magu Lindin, musisz utemperować niefortunną skłonność do ekstrawagancji. Przedwcześnie rozwinięty mag to mag niebezpieczny. Rozważ moje słowa, zamiast na własną rękę wprowadzać zmiany w zamówieniu klienta.

- Tak, mistrzu - powiedziała, po raz kolejny spuszczaając wzrok. Płonęła w niej taka złość, że gdyby chciała, zdołałaby chyba podpalić tego głupca. I miałby za swoje, ale...

Pogódź się z tym, Barl. Musisz się z tym pogodzić.

Arndel kiwnął głową, nie do końca przekonany co do tej potulności. Któryś z magów uniósł dłoń,

prosząc go o pomoc. Mistrz rzucił jej ostatnie, krytyczne spojrzenie i odpowiedział na wezwanie, ona zaś została ze swoją wściekłością, starannie ułożonymi na stole elementami i krystaliczną tarczą prozaicznego zegarka, który była zmuszona dokończyć. Lecz świadomość tego, jak mógł i jak powinien wyglądać, wciąż dźwięczała w jej krwi.

Traint to idiota. Arndel zresztą też.

Skoro mistrz był zajęty, Ibbitha przysunęła się na swojej ławie na tyle blisko, by Barl usłyszała jej szept.

- Serio, Barl? Nigdy się nie nauczysz, co?

Oprócz Remmiego tylko z Ibbithą była związana na tyle, by mogła nazwać ją przyjaciółką. Koleżanka po fachu była w miarę utalentowana, choć jej wyobraźni czy ambicji brakowało dynamizmu, a w dodatku była więźniem konwenansów i nie śmiała kwestionować żadnych zasad ani ograniczeń nakładanych przez dorańską Radę Magów, Gildię Rzemieślników czy mistrza Arndela. Jak jakaś *matrona*. Właśnie taka była Ibbitha. Przyjaciółką z przypadku, nie od serca.

Barl nigdy nie miała szczęścia do przyjaźni.

Zaryzykowała i spojrzała na dziewczynę ukradkiem, mimo obaw przed gniewem pracodawcy.

- Co za bzdura - odpowiedziała szeptem. - Codziennie się uczę.

- Ale czego? - rzekła Ibbitha. - Musisz...

Przeszywające spojrzenia gorliwie pracujących wokół magów zabiły w Ibbicie zapał do prawienia morałów. Barl wcale nad tym nie ubolewała. Wróciła do pracy, choć właściwie w ogóle nie musiała się zastanawiać nad poszczególnymi zaklęciami i kontrapieczkami, i dalej konstruowała żaloszny zegarek lorda Trainta.

Nudzi mi się. Tak bardzo mi się nudzi. Zasluguję na coś więcej.

Kiedy pracownia opustoszała w czasie przerwy obiadowej, a przyjaciółki siedziały razem na stojącej w słońcu kamiennej ławie, w Ibbicie odżyły zapędy do prawienia kazań.

- Musisz być ostrożniejsza, Barl - powiedziała, muskając usta serwetką. - I nie możesz być zachłanna. Mnie dopiero po niemal dwóch latach pozwolono konstruować zegarki na zamówienie. A tobie? Dostałaś tego zaszczytu zaledwie po siedmiu miesiącach! Nie zadowala cię to?

Polerując śliwkę o zieloną lnianą spódnicę, Barl powiodła wzrokiem po pozostałych magach w ogrodzie, po pudełku z jedzeniem, które stało obok niej na ławce.

- A czy małe dziecko poprzestaje na raczkowaniu? Czy nie próbuje stanąć na nogach, a potem chodzić i biegać?

Ibbitha zmarszczyła perkaty nos.

- Sama jesteś jak małe dziecko, jeśli sądzisz, że działając wbrew zasadom Arndela, dostaniesz to, czego chcesz. Poza tym z projektem lorda Trainta jest wszystko w porządku.

Barl popatrzyła na nią z zastanowieniem.

- Naprawdę tak sądzisz, co?

- Tak - odpowiedziała poirytowana Ibbitha. - Po co miałabym to mówić, gdybym uważała, że jest inaczej?

- Rzeczywiście - rzekła Barl i ugryzła śliwkę. Intensywnie fioletowy sok pociekł jej po podbródku. Po kolejnym gryzie skapnął także na spódnice. Poruszyła palcami i za pomocą magii usunęła plamę, a potem obgryzła resztę słodkiego miąższu z pestki.

- Nigdy cię nie zrozumie, Barl. - Ibbitha utkwiała wzrok w koleżance. - Dlaczego nie możesz pogodzić się z obecnym stanem rzeczy? Zważywszy na twoje pochodzenie... - Odwróciła się z zakłopotaniem. Takich kwestii z reguły nie poruszano. Wystarczyło, że pozycja każdego rodu była powszechnie znana i każdy znał swoje miejsce na dorańskiej drabinie społecznej. Plotkowanie na ten temat było bardzo źle widziane. - Cóż. Sama wiesz.

Barl przełknęła gorzki śmiech. O tak, wiedziała. Przecież codziennie tłukła głową w mur wzniesiony z ograniczeń związanych z pochodzeniem i pozycją oraz z tego, co wypadało lub czego nie wypadało robić osobie o jej statusie społecznym.

- W każdym razie - dodała Ibbitha - co jest takiego strasznego w projekcie lorda Trainta?

- Ibbitho... - westchnęła. - Skoro muszę ci tłumaczyć, to i tak nie zrozumiesz.

Na policzki Ibbithy wystąpił rumieniec, a w zielonych oczach pojawił się błysk. Dziewczyna przesadnie wypracowanymi, oszczędnymi ruchami złożyła serwetkę.

- Ach tak.

No i kłapa. Przez swoją niecierpliwość znowu narobiła sobie kłopotów. Remmie ciągle ją za to beształ. *Odrobina uprzejmości nigdy nie zaszkodzi, Barl. Nikt nie lubi być uważany za głupca, nawet jeśli nim jest.* Akurat Ibbitha nie była głupia, była po prostu przyziemna.

Pozostali rzemieślnicy grupkami zbierali się z ogrodu, bo krótka południowa przerwa właśnie dobiegała końca i czekało ich długie popołudnie z zębatkami, witrażami, ceramiką, tkaniem i szkłem.

- Przepraszam, Ibbitho. - Barl w pokojowym geście dotknęła ramienia niby-przyjaciółki. - Nie to miałam na myśli. Chciałam powiedzieć, że...

Ibbitha przyglądała serwetkę, którą ułożyła w opróżnionym pudełku na jedzenie.

- Przestań, Barl. Powiedziałas dokładnie to, co miałaś na myśli, więc nie obrażaj mnie, udając, że jest inaczej.

- W porządku - odparła, posyłając pestkę w grządki kwiatów okalające ogród. - Powiem tylko, że zegarek lorda będzie wskazywał czas z precyzją i gracją wieprza usiłującego galopować po lodzie. Ten człowiek to prostak, Ibbitho. Nie ma za grosz wyobraźni. Trzeba przyznać, że zna się na mechanizmach, ale kompletnie nie pojmuje piękna i elegancji. - Postanowiła skorzystać z okazji i załagodzić sytuację. - W przeciwieństwie do ciebie na przykład.

Ibbitha była zbyt zdumiona, by usłyszeć komplement.

- Jak możesz w ogóle tak mówić, Barl? Lord Traint ma kuzyna drugiego stopnia, którego żona kandydowała do Rady Magów. Jego kuzyn trzeciego stopnia zaprojektował aż dwie fontanny w Elvado. A dziadek złożył do zatwierdzenia i opatentowania nowe zaklęcie. Co prawda zostało odrzucone, ale złożył. I ty nazywasz go *prostakiem*?

W Barl aż zawrzało z frustracji, zapieczętowała więc swoje pudełko po jedzeniu, a potem ze zniecierpliwieniem pstryknęła palcami i zaklęciem przeniosła je do domu.

- A co to ma wspólnego z jego zdolnościami? Żadne z tych osiągnięć nie jest jego zasługą, Ibbitho.

- Jest inspektorem dystryktu!

- Tylko ze względu na nazwisko. Założę się, że gdyby nazywał się inaczej, nie mógłby nawet dotknąć palcem inspektorskiej pieczęci. Artur Taint to chodzący dowód na to, że rodowe koneksje są cenniejsze niż talent. Dlaczego tak jest? Dlaczego ty, ja czy którykolwiek inny mag nie mamy równych szans czy innych przywilejów tylko dlatego, że mieliśmy pecha i nie urodziliśmy się jako członkowie Założycielskich Rodzin?

- Oświadczam ci, Barl, że czasem pleciesz wierutne bzdury - odparowała Ibbitha. - Jak możesz twierdzić, że ty czy ja nie mamy równych szans, skoro dzień w dzień możemy tworzyć magiczne dzieła, będące obiektem zazdrości sąsiadów Dorany pozbawionych magicznych mocy? Najmniej wyszukane spośród naszych zegarków wzbudzają podziw wśród mieszkańców Trindeku, Feen i Manemli. Po prostu wszędzie. Nasza pracownia zyskuje rozgłos. A jeśli ci się wydaje, że mistrz Arndel narażałby jej reputację z powodu maga, którego pochodzenie jest zaledwie dopuszczalne, który przeskakuje od jednego zajęcia do drugiego i który *nigdy* nie jest zadowolony, choćby pozyskiwał wszelkie możliwe względy... Cóż, skoro muszę ci tłumaczyć, w jakiej sytuacji się znalazłaś, to chyba i tak nie zrozumiesz.

Ibbitha jeszcze nigdy aż tak jej nie zbesztala, a co gorsza miała rację i właśnie to najbardziej ubodło Barl.

Nie powinna mieć racji. Przecież każde jej słowo potwierdza tylko, że moje spostrzeżenia na temat niesprawiedliwości są słuszne.

Niestety drabinie społecznej magów daleko było do sprawiedliwości. Rządziły na niej określone zasady, reguły postępowania, nakazy i „dopuszczalność”. A ponieważ te zasady zakorzeniły się bardzo dawno i ponieważ pewni wysoko postawieni ludzie dbali o to, by nie zostały wykorzenione, nic się w tej kwestii nie zmieniało.

Dlaczego Ibbitha tego nie dostrzega? Dlaczego potulnie podporządkowuje się temu, na co Rada Magów jej pozwala, a czego zabrania? I to wszystko tylko ze względu na nazwisko? Dlaczego ta garstka ludzi ma decydować o naszym losie?

- Rozumiem to wszystko aż za dobrze, Ibbitho. W moich żyłach płynie nieodpowiednia krew. Ty za to nie rozumiesz, że według mnie krew się nie liczy i nie wiem, dlaczego ktokolwiek zwraca na nią uwagę. Nie rozumiem też, dlaczego moje drzewo genealogiczne - choćby nie wiem jak skarłowaciałe - ma decydować o tym, za jakiego maga jestem uważana.

- Och, Barl. - Ibbitha pokręciła głową z cierpkim współczuciem. - Życie stanie się o wiele łatwiejsze, gdy przestaniesz ze wszystkim walczyć. Jeśli tylko przyjmiesz wszystko takim, jakie jest, jeśli przestaniesz sprzeciwiać się zasadom mistrza Arndela, może pozwoli ci skonstruować niewielki zegar kominkowy, który potem sprzeda w swoim warsztacie. Nie zaprzecza, że masz talent. Nikt nie może temu zaprzeczyć. To twój charakterek wpędza cię w kłopoty i wcale nie bez powodu. Szkoda by było, gdyby upór i duma doprowadzały cię do potknięć na równej drodze.

Droga przed Barl - wyłożona brukiem wybranym przez kogoś innego - wiła się bezsensownie ku przyszłości pełnej szans, których nie wolno jej było wykorzystywać. Gdyby jednak postanowiła skoczyć Ibbicie do oczu za przypomnienie jej o tej gorzkiej prawdzie, pewnie pogrzebałaby tę niezbyt zażyłą

przyjaźń, a tego nie chciała. Westchnęła zatem i pokiwała głową, by Ibbitha myślała, że jej wykład odniósł skutek.

- Masz rację. Cierpliwość nie jest moją najmocniejszą stroną. A projekt tego podróżnego zegarka wcale nie jest taki zły, jak twierdziłam.

- Oczywiście, że nie! - rzekła Ibbitha i zrobiła krok w stronę ogrodowej furtki. Mistrz Arndel podchodził do spóźnienia z ogromną dezaprobatą. - Gust lorda Trainta to kwintesencja eleganckiej i wyrafinowanej prostoty.

O nie, to raczej idealny przykład ograniczonego umysłu, ale nie było sensu mówić tego Ibbicie, na której wysoka pozycja społeczna zawsze robiła wrażenie. Arndel zresztą był pod tym względem taki sam. Artur Taint był lordem, inspektorem dystryktu, i miał pełną kiesę. W obliczu tych pożytecznych atrybutów nikt nie zważał na jego przytępioną wrażliwość.

Z poczuciem porażki Barl wróciła wraz z Ibbithą do warsztatu. Przez całe popołudnie pracowała nad dokończeniem tego, co zaczęła, i jeszcze przed zachodem słońca niejaki zegarek lorda Trainta był gotowy.

Wezwany do sprawdzenia rezultatu jej pracy mistrz Arndel obszedł stół i ze ściągniętymi ustami przyglądał się ukończonemu przedmiotowi. Czując na sobie przenikliwe spojrzenia pozostałych magów, Barl usunęła się na bok, by mógł swobodnie wytknąć jej nieistniejące wady. Żaden z jej towarzyszy nie byłby w stanie skonstruować nawet takiego prostego zegarka w tak krótkim czasie i z taką dokładnością, choć uczyli się rzemiosła od trzech lat, a nawet dłużej, i pochodzili z bardziej znamienitych rodów niż ona.

No i co? Talent jednak ma znaczenie. Nie zawsze najważniejsza jest etykieta z rodowym nazwiskiem.

- Hm - mruknął w końcu mistrz Arndel i przystanął. - Nie dostrzegam w nim żadnych niedoskonałości, magu Lindin. Zakłęcia i kontrpieczęcie gładko się zazębiają, a kryształ wygląda zadowalająco.

Kryształ wyglądały wspaniale, lecz Arndel nigdy by tego nie przyznał. Nie tylko prezentowały się lepiej niż kryształ wszystkich jego innych pracowników, ale i lepiej niż kryształ stworzone przez niego samego - nie należał jednak do ludzi, którzy szczyliciby się osiągnięciami magów stojących w hierarchii niżej niż on. Pochwały zbierał chętnie. O tak, z pewnością ochoczo ich wysłucha, gdy lord Taint przyjdzie odebrać zegarek. Oczywiście nie powie, że sam skonstruował zamówiony przedmiot. Nie omieszka za to zasugerować, dać do zrozumienia, napomknąć czy wymownym spojrzeniem podsunąć myśl, że bez jego stałego nadzoru zegarek byłby słabiutkiej jakości.

A skoro warsztat należał do niego, Barl nie miała wyboru i musiała mu na to pozwolić. Udała więc, że czuje się doceniona.

- Dziękuję, mistrzu.

Arndel podejrzliwie rzucił na nią okiem, doszukując się w jej słowach nieszczerości lub sarkazmu. Nie wyczuł ich, nie był bowiem tak sprytny, jak mu się wydawało, więc kiwnął głową.

- Potraktuj to jako naukę, magu Lindin. Kiedy ograniczają nas projekty, należy realizować je w sposób zadowalający klienta. Czy moglibyśmy usłyszeć tykanie nowego zegarka lorda Trainta?

Była magiem zegarmistrzem, dlatego to do niej należało zwolnienie tymczasowej pieczęci zegarka,

by można było sprawdzić, czy tyka on precyzyjnie i czy odgłos ten jest miły dla ucha. To właśnie w tej – i żadnej innej – kwestii rzemieślnik mógł sobie pozwolić na spełnienie własnych zachcianek. Odgłos tykania zależał wyłącznie od twórcy.

Barl podeszła do stołu. Spojrzała na przedmiot skonstruowany ze zwątpieniem i pogardą dla człowieka, którego pospolity umysł nie zdołał stworzyć niczego bardziej wyszukanego niż kwadratowa kryształowa koperta gdzieś tam ozdobiona złotem. Uwięziona w Barl dusza maga załkała.

A mógł być taki piękny. Gdybym tylko miała możliwość, stworzyłabym taki zegarek, że niebiosy przez wiele dni płakałyby z zachwytu.

Szepnęła i zegarek wydał z siebie pierwszy odgłos.

– Bardzo ładnie – rzekł mistrz Arndel z niechęcią, gdy w powietrzu zawisły przyjemne, harmonijne dwu- i trójdźwięki tykającego zegarka.

Barl popatrzyła w dół i choć przybrała skromną minę, aż w niej wrzało. *Ładnie? Ładnie? Ty zręczliwy stary krecie.*

– Dziękuję, mistrzu Arndel.

Pstryknęła palcami i zegarek lorda Trainta wygrał dźwięki obwieszczające godzinę. Nawet najbardziej nieprzyjaźnie nastawieni rzemieślnicy uśmiechnęli się, gdy usłyszeli radośnie brzmiące kuranty. Przyglądając się Arndelowi spod osłony rzęs, Barl ujrzała przebiegający przez jego twarz grymas zazdrości, który jednak w mgnieniu oka zniknął.

– Tak, w sam raz – powiedział, jak gdyby podała mu właśnie odpowiednio posolone jajko na twardo. – Cofnij się, magu Lindin.

Zrobiła więc krok w tył i zaczęła, aż Arndel założy główną pieczęć pomiędzy kolejnymi tyknięciami zegarka. Jako mistrz warsztatu miał do tego prawo. Cena zakupu obejmowała przekazanie klientowi runy odpieczętowanej przedmiot. Jeżeli lord Traint zaakceptuje zrealizowane zamówienie – a nie miała wątpliwości, że tak właśnie będzie – Barl dostanie dodatek do tygodniówki.

Ale wzbogaci się na tym nie ona, lecz Arndel, który zyska i pieniądze, i reputację.

A to już czysta kradzież.

Zapiekle ją ta niesprawiedliwość.

Gdy tylko mistrz wyszedł, zabrawszy ze sobą zapieczętowany zegarek lorda Trainta wraz z jego projektem, Barl rozpoczęła pieczołowite sprzątanie stołu.

Najpierw opróżniła tacki z piaskiem. W Doranie nie było złóż drobnego piasku, dlatego alchemia kryształów wymagała sprowadzania go po bardzo wysokich kosztach z Feen, Brantone i Iringi. Kiedy zsyłała niezaużyty piasek do kamiennych słoików w magazynie, musiała pozbierać niewykorzystane samorodki i wiórki złota oraz złoty pył, bo i pod tym względem Dorana była nędzarzem. W pilnie strzeżonych granicach państwa znajdowała się tylko jedna kopalnia złota, w której w dodatku nie było złóż najlepszego czerwonego kruszcu występującego w innych krajach. Dorana miała mnóstwo srebra i miedzi, ale Barl i tak musiała pozbierać najmniejsze drobinki. Mistrz Arndel traktował wszystkie surowce jak piasek i złoto. Następnie poukładała w odpowiednich szufladach klejnoty – rubiny, szmaragdy i topazy – których nie użyła do stworzenia mechanizmu zegarka. Wreszcie

oczyściła stół roboczy za pomocą odpowiedniego zaklęcia. Dzięki temu miała pewność, że żadne wspomnienie zegarka lorda Trainta nie wkradnie się do jej kolejnych prac i nie wpłynie na ich unikalne projekty.

Tymczasem godziny pracy dobiegły końca i pozostali magowie zaczęli opuszczać warsztat. Ibbitha nie dokończyła jeszcze swojego zegarka, dlatego zapieczętowała swój stół roboczy.

- Idziesz, Barl?

Barl już miała przytaknąć, nagle jednak się rozmyśliła. *Nie powinnam. To szaleństwo. Jeśli ktoś się dowie, zostanę zwolniona.* Ale choć serce aż podskoczyło jej w piersi na tę straszną myśl, wiedziała, że zachowa się lekkomyślnie.

- Nie mogę - udała poirytowanie. - Zaklęcie oczyszczające nie zadziałało jak należy. Dokończenie zegarka dla lorda Trainta wyczerpało mnie bardziej, niż mi się wydawało.

- Pięknie ci wyszedł, Barl - powiedziała Ibbitha. Mimo swoich banalnych kazań potrafiła być miła. - Możesz być dumna.

Nie znosiła momentów, w których musiała udawać, że ograniczenia jej nie drażnią.

- Jestem. Miałas rację, mam szczęście, że mistrz Arndel okazał mi takie zaufanie.

Zwykle niezadowolone oblicze Ibbithy złagodniało, gdy pojawił się na nim wąty uśmiech zadowolenia.

- Cieszę się, że to zrozumiałaś. Pomóc ci i rzucić silniejsze zaklęcie?

- Dam sobie radę. Arno na pewno nie może się już doczekać, żeby wziąć cię w ramiona.

Ibbitha lekko się zarumieniała. Niedawno wyszła za mąż, a zachowywała się tak okropnie *przyzwoicie*.

- Skoro tak, to do zobaczenia jutro, Barl.

Barl patrzyła, jak za koleżanką zamykają się drzwi, a potem zaczęła udawać, że krząta się nad stołem, gdy tymczasem pozostali trzej magowie opuścili warsztat, pożegnawszy się z nią zdawkowo. Kiedy tylko została sama, odskoczyła od stołu. *Doskonale.* Teraz mogła się zabawić.

Choć szczerze powiedziawszy, jeśli chciała wykazać się sprytem, powinna zaczekać jeszcze chwilę, by mieć pewność, że mistrz Arndel nie wróci. Dla zabicia czasu przyjrzała się pobieżnie zegarkowi, nad którym pracowała Ibbitha. Miał trafić do najstarszej córki lady Isolte z okazji zaręczyn. Nuda. Co prawda sam projekt był całkiem ładny, ale o Ibbicie nie dało się powiedzieć, że była *natchnionym* twórcą. Mogłaby zrobić mnóstwo rzeczy, żeby zegarek zamiast *przyzwoitego* był *wspaniały*, a jednak nie zrobiła żadnej. Problem Ibbithy polegał na tym, że nie miała wyobraźni. Nigdy nie wychodziła poza granice projektu i nie brała pod uwagę subtelnych możliwości kryjących się wśród linii szkicu.

Pewnie nawet nie przeszło jej przez myśl, żeby spróbować. Mogłabym stworzyć znakomity zegarek na zaręczyny córki lady Isolte. Gdybym tylko miała możliwość, wyszedłby mi śpiewająco.

Tymczasem zawałano ją zleceniami na zegarki podróżne i przykuwano kajdanami do jałowej wyobraźni klientów takich jak Artur Traint. Jej obecne zajęcia ustawiały ją zaledwie o szczybel wyżej od pozycji, od której zaczęła pracę w warsztacie. Konstruowała tanie, niezbyt wyrafinowane zegarki sprzedawane w Doranie i w sąsiednich krajach.

Arndel to palant. Dlaczego nie doceni mojej wartości? Na pewno wie, że jego reputacja tylko by na tym zyskała.

Mistrza Arndela wciąż nie było słyhać. Na pewno była już bezpieczna. Wyszła do magazynu, a serce łomotało jej w piersi. Choć raz stworzy zegarek wart jej talentu.

Ze zdenerwowania po jej plecach spłynęła strużka potu. Barl w pośpiechu wysypała na podłogę składniki potrzebne do stworzenia wymarzonego przedmiotu. Trzy rodzaje rzadkiego piasku – różowy, srebrny i niebieski – klejnoty, z których powstaną obciążniki, oraz złoto, srebro i miedź, z których zamierzała zrobić wahadło i duszę. Nie potrzebowała szkicu zegarka lorda Trainta, wyrył się bowiem już w jej pamięci. Pękaty, bez polotu, funkcjonalny, *prosty*. A wystarczyło tylko nieco udoskonalić jedno zakłęcie, podrasować drugie, tu i tam odrobinę zmienić dopasowanie elementów. Takie proste. A takie eleganckie. Jakim cudem Traint tego *nie zauważył*?

Runa za runą, tchnienie za tchnieniem, spod jej pewnych palców wychodził zegarek podróżny, który tak bardzo pragnęła stworzyć. Tym razem nie był to taki powolny proces jak poprzednio, bo już raz przecież konstruowała ten zegarek. Tym razem jednak obudowa z czystego kryształu lśniła żywym, opalizującym blaskiem. Szybko powstawał przed nią smukły, solidny przedmiot – już nie pękaty i czysto praktyczny, lecz będący delikatnym i wytwornym wyrazem nadziei. Takie zegary tworzone dla podróżujących, a ona miała przed sobą czasomierz, który pozwalał w podróży spełniać marzenia i wykorzystywać możliwości. Który odzwierciedlał marzenia podróżnika.

Kiedy skończyła pracę, uklękła i odetchnęła ciężko. Była bliska łez. Gdyby tylko mogła pokazać lordowi Traintowi to, na co właśnie patrzyła, a nie tę bezduszną kryształową bryłę, którą Arndel zabrał ze sobą. Była poprawna pod każdym względem, wykonana z ogromną skrupulatnością i zupełnie pozbawiona duszy. Ale *ten* zegarek...

To właśnie on zasługuje na moje piękne kuranty. To właśnie ten zegarek powinien śpiewać moim głosem.

I właśnie tego zegarka nie mógł zobaczyć żaden mag.

Wyrysowała runę zabezpieczającą, a następnie wypowiedziała surowo brzmiące zakłęcie unicestwiające, po którym z tego odmienionego zegarka zostały tylko piasek, złoto i klejnoty. Gdy go zniszczyła, z jej oczu popłynęło kilka łez. A potem odłożyła wszystkie składniki na miejsce, żeby mistrz Arndel nie zorientował się, że ktoś w nich grzebał.

Niemal wpadła na niego, gdy wychodziła z magazynu.

– Magu Lindin! – odezwał się z zaskoczeniem i niezadowoleniem. – Dlaczego się tu zasiedziałaś? Pozostali magowie już dawno wyszli.

– Wiem, mistrzu Arndel – mruknęła. – Przepraszam. Miałam pewne problemy z uprzątnięciem stołu.

Zmrużył oczy, jak gdyby nie chciał uwierzyć w jej słowa.

– Czyżby? To do ciebie... niepodobne.

– Byłam zmęczona – powiedziała, nawet nie drgnąwszy pod jego podejrzliwym spojrzeniem. – Ale stół jest już czysty. Chciałby pan go sprawdzić?

Przeniósł wzrok na jej opustoszałe miejsce pracy, a potem z powrotem na nią.

- Nie. Takie rzeczy należą do ciebie, magu Lindin. Jeżeli rzucone zaklęcie oczyszczające było niewłaściwe, przy kolejnym zadaniu wyjdzie szydło z worka.

- Czy zostało już dla mnie wybrane kolejne zadanie, mistrzu?

Tym razem zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, a na jego twarzy wyraźnie odmalowało się oburzenie na myśl o jej talencie, na którym przecież się wzbogacał.

- Cóż za zuchwałość. To ja powinienem poruszać takie kwestie, nie ty. Odejdź.

- Do widzenia, mistrzu - powiedziała z ukłonem i wymknęła się z pracowni, nim zdążyłby zdegradować ją na powrót do rangi rzemieślnika zajmującego się zwyczajnymi zegarkami.

Kolejny dzień późnego lata dobiegał końca i zaczynało się ściemniać, ale to nie miało znaczenia. Zawsze mogła wyczarować magiczny ogień, żeby oświecić drogę. Mogła także - jak każdy mag rzemieślnik - teleportować się do domu. Tyle że nie przepadała za takimi zaklęciami. Osłabiały ją i przyprawiły o zawroty głowy, choć rzadko się do tego przyznawała. Poza tym nie pozwalały cieszyć się przyjemnymi zapachami unoszącymi się w powietrzu. Warsztat Arndela był położony na trawiastych obrzeżach wioski Batava, gdzie - przynajmniej na razie - mieszkała wraz z Remmiem. Samotne spacerowanie do pracy i z powrotem pomagały jej oczyścić umysł z elementów magii zegarmistrzowskiej i dawały odrobinę cennego czasu na marzenia.

Choć niewiele mi przychodzi z tych marzeń. Nie zmienię tego, co złe w Doranie. Prawa może zmienić tylko Rada Magów, ale tego nie robi. Chyba że ktoś ją zmusi.

A na to były nikłe nadzieje. Radę Powszechną zbyt zajmowały sprawy codzienne, pobieranie podatków, egzekwowanie przyziemnych praw oraz relacje z sąsiadami i skomplikowane traktaty handlowe zawierane z innymi krajami. Jej członkowie z największą radością pozostawiali siostrzanej radzie zawile prawa dotyczące magów. Czasami Barl odnosiła wrażenie, że jest jedynym magiem na świecie, który przejmując się tym, czy coś jest słuszne i sprawiedliwe. Wszyscy jej pozostali znajomi byli jak Ibbitha - zadowalali się okruchami, które spadały dla nich z pańskiego stołu Rodzin Założycielskich Dorany.

Nawet Remmie.

Kocham go z całego serca, ale czasami nie mogę uwierzyć, że jesteśmy spokrewnieni.

Przy drogach, którymi szła, rosły usiane kwiatami żywopłoty. Tańczyły nad nimi świetliki lśniące jasno w zapadającym zmroku. Dziś jednak nawet ich niepojęte piękno nie działało na nią kojąco. Wciąż dręczyła ją utrata tamtego zegarka - zegarka, który Arndel powinien był pozwolić jej stworzyć, który praktycznie jej ukradł. Ciężko stawiała stopy na wilgotnej trawie i z każdym krokiem wyobrażała sobie, że rozdeptuje na kawałeczki tandetny zegarek lorda Trainta.

Dobrze, że nikt nigdy się nie dowie, że to ja go skonstruowałam. Niech każdy mag, który spojrzy na zegarek lorda Trainta, sądzi, że to paskudztwo jest dziełem Arndela. Są siebie wariaci. Na mnie jeszcze przyjdzie czas. Kiedyś cały świat pozna moje imię. Zobaczysz, co potrafię stworzyć, i oniemięje z wrażenia.

Zanim dotarła do domu, było już niemal całkiem ciemno. Na niebie zaczęły nieśmiało pojawiać się gwiazdy, a w niezastłoniętych oknach chaty nauczyciela z miejscowej szkoły zapłonęły lampy rozświetlone magicznym ogniem.

- Jesteś! - odezwał się Remmie, odwracając się od zlewu, gdy weszła do kuchni. - Już miałem cię szukać.

Choć była zmęczona i niezadowolona, nie mogła nie uśmiechnąć się do brata, gdy poczuła unoszący się w powietrzu zapach.

- Jestem, jestem, ty stara kwoko.

- Sama jesteś kwoka - powiedział i zwiesił ramiona. Niezbyt lubił takie przekomarzania. - Myślisz, że nie mam co robić, tylko martwić się o twoje bezpieczeństwo?

Była w takim nastroju, że bez najmniejszego trudu by się z nim spięła. Odetchnęła głęboko i po chwili poskromiła mocno bijące serce, drażliwy nastrój i gorzkie myśli. Remmie zawsze był tym łagodniejszym i miłszym z nich dwojga. Chłopiec, którego wciąż jeszcze miał w sobie, nie przeboleał przedwczesnej straty rodziców, szybko popadał w czarnowidztwo i wyciągał najbardziej pesymistyczne wnioski. Jej rany już dawno się zabiły i łatwo o tym zapominała.

- Zostałam dłużej w pracowni. - Starła się mówić łagodnym tonem. - Nie pomyślałam. Przepraszam. Czy tam na piecu widzę gulasz z baraniny?

- Raczej nie zasłużyłaś - powiedział. - Po co zostałam dłużej? Mam nadzieję, że nie masz żadnych problemów z Arndelem.

Jego słowa trafiły w czuły punkt, ale nie bezpodstawnie. Nie mieli żadnych krewnych prócz siebie, a on przeprowadzał się z nią za każdym razem, gdy przez kompletny brak cierpliwości zadzierała z kolejnym pracodawcą lub porzucała posadę, by szukać nowej. A gdyby zadarła z mistrzem Arndelem lub miała dość pracy w jego warsztacie, brat znów by za nią podążył.

I właśnie dlatego tak bardzo starała się być miła dla Arndela i choć trochę pogodzić się z tym, że dostatecznie jej nie doceniał. Remmie chciał zostać w Batavie. Posada nauczyciela w maleńkiej szkółce dawała mu wiele satysfakcji. Nie słuchał siostry, gdy lamentowała, że się marnuje, ucząc cudze dzieci.

- Mam, ale nie takie, jakie masz na myśli - odparła, osuwając się na jedno z dwóch krzeseł przy niewielkim kuchennym stole. - Moja praca dla Arndela jest warta niemało. Wie, że poniesie stratę, jeśli mnie zwolni.

- To dobrze - powiedział Remmie, odwracając się w jej stronę. Nawet nie próbował ukryć ulgi. - Ale nie jestem ślepy ani głupi i widzę, że coś cię trapi. Co się stało?